

## Zabieg

---

I znów remanent, ale tylko dla interesujących się szczegółami.

### Zabieg

Miniaturowa, trzyłóżkowa, jedna z dwóch salka chorych oddziału chirurgii ogólnej miejskiego, zaprzyiałego dość szpitala. Najbliżej okna Wredak, pacjent z usuniętym, łagodnym wyrostkiem robaczkowym, następnie Kopeć, potężnej tuszy trzydziestolatek, dochodzący do siebie po resekcji żołądka. Przy drzwiach Wasowski, pacjent dzisiejszy, oczekujący na ewakuację zakamienionego pęcherzyka żółciowego.

Po wieczornym obchodzie, w niezmiennie skromnym, trzyosobowym składzie medycznym — doktor nauk med. Chajman, wiecznie dyżurujący ordynator, doktor Wazelina, młody jeszcze całkiem rezydent, podopieczny ordynatora, oraz zastanawiająco brzydka, zawsze skwaśniała oddziałowa Jola — pacjenci odprężeni, kolejne dziś litry glukozy i standardowych płynów nawadniających zaordynowane, temperatura pomierzona, zapisana. Zastony odsonięte — zza okna dobiega uspokajająco ryk ruchu miejskiego, zwłaszcza tramwajowo kolejowy, neon PZU nieustająco iskrzy. Do obowiązkowej ciszy nocnej, gdy wreszcie można uwolnić się od kroplówek i namolnej rodziny, kilka beczynnych godzin. Czas rozmów.

— A pan na pewno schudnie? — Wasowski, pacjent najświeższy i może dlatego wystraszony, pyta Kopia, który wzdycha coś ciężko na swoim łóżku.

— Cholera wie — odpowiada grubas, kombinując przy wenflonie. — Chajman mówi, że w każdym razie skończyły się czasy golonki, tortów i ogólnie obżarstwa. Teraz będę jadł jak kotek albo inna rybka. Całkiem mało.

— Ale za to częściej — podpowiada pocieszająco Wredak. — Możesz pan zakąsać co dziesięć minut.

— Zakąsać... — krzywi się Kopeć jakby chciał zapłakać. — Alkohol to już absolutnie... Do dupy to wszystko.

— Rozumiem pana — przytakuje smutno Wasowski. — Ja też... nie za kołnierz. Stąd i woreczek.

— Pęcherzyk się mówi — instruuje spod okna Wredak. — Oni, znaczy lekarze, wrażliwi na to.

— Na co? — pyta Kopeć.

— No... jak się mówi. Po ichniemu trzeba, po medycznemu — Wredak podnosi się ostrożnie, tak, by nie urwać drenu, biegnącego przedziwnymi zakrętami od butelki z glukozą do wenflonu na wierzchu lewej dłoni. — Przymknę lekko okno. Zimno coś.

— Dobra — zgadza się Kopeć. — Tylko nie zamykaj pan całkiem, bo się udusimy.

Po chwili ciszy, tym pełniejszej, że okno przymknięta, znów odzywa się Wasowski:

— A... jak to się odbywa?

— Co? — zgłasza się Wredak.

— No zabieg, operacja. Na przykład hm... pęcherzyka. Ja... jeszcze nigdy...

— He, he... Chcesz pan wiedzieć?

— No tak...

— I... lekki cykor?

— Powiedzmy...

— Laparoskopowo czy... po rzeźniczemu?

— No ten młody, jak mu tam...

— Wazelina — odpowiedział Kopeć.

— No właśnie. On mówił, że nowoczesnie, znaczy la... paroskopowo. Że szybciej, lepiej...

— Niby tak... — Wredak nie jest do końca przekonany. Przekręca się ostrożnie na plecy i podnosi bluzę pidżamy. — Widzisz pan te dziury?

— Te... trzy okropne strupy?

— Tak. To zarośnięte dziury — chwali się Wredak.

— A ta brązowa rurka, która z pana... wychodzi?

— To dren. — Wredak odkrywa kołdrę i pokazuje całą instalację. — Na ropę, która wypływa ze mnie i gromadzi się w tym plastycznym worku.

— Chryste Panie! — Wasowski jest autentycznie przerażony.

— Ja też tak mam — informuje Kopeć.

— Tak, tak — potwierdza Wredak, uśmiechając się złośliwie. — Pana też to czeka. Ja jestem doświadczonym pacjentem, więc wiem.

— Co?

— Nie mam już wyrostka, pęcherzyka, prawej nerki i kawałka wątroby. Migdałki wyrznięli mi w dzieciństwie, zęby wybili w bójkach ulicznych, a lewe oko szklane. No i ta cholerna płytka w głowie.

— Jezusie Nazareński! — Wasowski drży na całym ciele, ale boi się ruszyć, by nie zburzyć jego własnej, misternej instalacji kroplówkowej wstępnej. Przedzabiegowej.

— Mogę więc panu opowiedzieć wszystko ze szczegółami — chwali się Wredak i przykrywa szczelnie kołdrą. — Jestem pacjentem fachowym, weteranem kroplówkowym. Chodzącym, no... leżącym kompendium.

— A... mów pan — decyduje się odważnie Wasowski. — Muszę wiedzieć.

— No więc jutro..., bo to jutro?

— Tak.

— No więc jutro, po obchodzie, siostra Celinka, ta młodziutka, ładniutka, zabierze pana do łazienki.

— Po kiego?

— Żebyś się pan wysikał, wypróżnił, oraz... by pana ogolić.

— Ale... ja się sam golę. Sam też sikam i... tak dalej.

— Kochany — Kopeć śmieje się ostrożnie, delikatnie. Rany wszak niezagojone, żywe, a od chichotów, wstrząsów, mogą się otworzyć krwawiąco. — One muszą być pewne, widzieć na własne oczy, wygolić własnoręcznie. Bo jakby coś nie tak, to na brucek. Won! A golonko... nie o głowę idzie wszak, ale o zarost... hm... łonowy.

— Co?

— Tak kochanieńki! — Wredak też podryguje na łożku. — Musisz pan być jak... noworodek.

Wasowski zrozumiał wreszcie o czym mowa.

— Ale... dlaczego?

— No bo gdyby z panem coś nie tak podczas zabiegu, gdyby trzeba było kroić z... rozmachem, szast, prast, to włosy... przeszkadzają. — Wredak był bezlitosny. — Wpadają do środka, zakażają. Możesz się pan nabawić, przekreślić.

— No tak. Rozumiem... To jednak... okropne. Mówisz pan Celinka? Jezu...!

— Nie ma lekko — stwierdza Kopeć. — To... medycyna szpitalna. Nowoczesna.

Chwila ciszy. Wasowski ciężko wzdycha, przetrawia informację. Łóżko skrzypi cicho pod tężejącym z wrażenia pacjentem.

— Jechać dalej? — pyta Wredak.

— Tak.

— No więc... wypróżniony, gładziutki jak dziecię i... bez hm... majtek, tylko w za krótkiej koszuli, ładujesz się pan na wózek. Celinka okrywa pana kocykiem i lekko rozbawiona pańską... nieopanowaną reakcją podczas golenia, uśmiechnięta, cała pachnąca, daje panu do wypicia łagodny środek uspokajający. Po czym zawozi na blok operacyjny.

— Jezu!

— Blok tutaj to jedna zaledwie sala operacyjna, ale zawsze. Tam, jeszcze młodsze i jeszcze ładniejsze siostrzyczki, przenoszą pana delikatnie na stół operacyjny. Zawsze koszulka odchyli się jakoś, ale pan już wstępnie przecież uspokojony, uśmiechasz się tylko głupkowato, zagadujesz nieporadnie.

— Matko Boska...!

— Tak, tak — przytakuje Kopeć. — Najlepsze przed panem.

— No więc leżysz pan już na chłodnym i wąskim stole. Nad panem potężna lampa, albo i dwie. W obroty bierze pana milutka, śliczniutka pani anestezjolog z wąsikiem — wkłupa się w pańską lewą rękę, wstrzykuje specyfiki. Nad panem pojawia się zamaskowany Chajman i wypytuje o nazwisko, rodzaj choroby, adres. Po chwili lampa operacyjna zaczyna się wyginać, Chajman zamienia się w niesprecyzowany kształt, usypiasz pan.

— Uff! Nareszcie! I co dalej?

— Następnie śliczniutka pani anestezjolog z wąsikiem intubuje pana.

— Co?

— Wpycha panu do gęby, do krtani, aż do tchawicy, laryngoskop — takie metalowe urządzenie z pojemnikiem na baterię i wielką, zagiętą, metalową łyżką.

— Jezu...!

— Tak. I z pomocą tej łyżki, zazwyczaj ostrożnie, co by nie wyłamać panu resztek zębów, wprowadza do środka plastikowe, giętkie dreniki, połączone do aparatury stojącej za pańską głową. To wielkie urządzenie na kółkach, z mnóstwem światełek, dźwigni, pompek, i jakby co źle, to robi: „Ping” Aparat do znieczulenia, który, o ile znów nie wyłączy elektryki, będzie za pana oddychać — jedna rurka podaje panu do płuc powietrze i tlen, druga odprowadza dwutlenek węgla. Pan przecież już nieprzytomny, bezwolny kloc.

— O matko!

— Przykleja też panu na chlerlawej piersi elektrody EKG, oraz zakłada na paluszek czujnik pulsoksymetru. Wszystko po to, by na pewno wiedzieć, kiedy się pan przekreślisz. Tymczasem zespół już gotowy. Chajman, z młodym Wazeliną umyć, ubrani na zielono, zamaskowani. Siostrzyczki pomagierki też, zwłaszcza jedna do instrumentowania. Włączają lampę operacyjną, podnoszą panu koszulę aż pod brodę — jesteś pan obnażony do cna, wystawiony walorami ku zachwyconej publice. Bezbronny jak wyjęta z wody rybka. Ale przecież nie wiesz pan o tym, spisz pan głęboko.

— No! — potwierdza Kopeć.

— Następnie doktor Wazelina, jako najniższy rangą, operator in spe, pędzuje panu brzuch żółtawą mazią odkażającą. Pod pańską szyją rozkładają maleńki parawanik, żebyś pan, w razie nieoczekiwanego wybudzenia, nie widział, jak panu grzebią w brzuchu. Oczywiście jesteś pan przywiązany do stołu pasami. Gdyby co!

— I żebyś pan nie spadł na podłogę, gdy stół zwariuje — dodaje Kopeć. — Stareńki, silniki i elektronika niepewne już, zabezpieczenia puszczają... Były przypadki.

— Matko jedyna!

— Pod dupę podkładają panu elektrodę...

— Co!?

— No elektrodę bierną diatermii chirurgicznej. Będą pana przecież w trakcie zabiegu przyżegać. Wielokrotnie.

— Chryste! Po co?

— Ba. To wyjaśnię później. Teraz, następnie, Chajman zarządza trokar duży.

— ?

— To taka stalowa rurka z wewnętrznym, przesuwным rdzeniem tnącym. Do robienia dziur w brzuchu. Okropne narzędzie.

— Jezusie!

— No więc Chajman robi panu w brzuchu najważniejszą dziurę. To istotna rzecz, gdyż musi wycelować precyzyjnie. Tak, by przebić powłoki brzuszne, otrzewną, ale nie naruszyć organów wewnętrznych. On ma wprawę — robił to nie raz. Nawet po pijaku.

— A jutro piątek, cały tydzień bez kropli... — Kopeć dogaduje złośliwie.

— No dobrze. Chajman już się przebił, wycofuje rdzeń tnący. Teraz podłącza do aplikatora końcówkę drenu insuflatora i włącza go.

— Cóż to znowu?

— To taka sprytna pompka, która pod ciśnieniem podaje do pańskiego brzucha dwutlenek węgla. Nadyma pana i kontroluje to nadęcie przez cały czas. Gdy potrzeba, odsysa, gdy trzeba „dosysa”. Automatycznie.

— Po co?

— Ha. Po to, by pańskie nadęte teraz jak balon brzucho, wytworzyło wewnątrz pustą przestrzeń do swobodnego operowania sprzętem, który zostanie tam za chwilę wprowadzony. Konieczny luz operacyjny, swoboda. Trzeba jeszcze tylko trochę oklepać z zewnątrz, i już.

— Matko jedyna!

— No więc teraz robią drugą dziurkę i trzecią. To już łatwiej, bo nie trzeba tak uważać na organy. W pierwszą dziurkę wprowadza się optykę z kamerą i światłowodem, podłączonym do źródła światła zimnego.

— Co?

— W pańskim brzuchu jest ciemno jak u murzyna w... no, wiadomo. A specjalna optyka, skomplikowana wewnątrz rurka z założoną na zewnętrznym końcu minikamerą, musi być tam wprowadzona, by operator widział co panu robi. Więc cały ten tor optyczny składający się z tysięcy cienutkich włókien światłowodowych, to jednocześnie przekazywanie obrazu do kamery, oraz, po warstwach zewnętrznych, intensywnego oświetlenia ze źródła światła.

— A dlaczego zimnego?

— Ano dlatego, że normalne światło białe, zawiera w swym widmie spory zakres podczerwieni, która wywołuje efekty cieplne. I gdyby tego zakresu nie zablokować specjalnymi filtrami, to Chajman, wprowadzając panu do brzucha takie nieobrobione światło, niechybnie poparzył by panu flaki na amen. Sam też by się nieźle podjarął.

— Rozumiem. — stwierdził tym razem Kopeć. — Ale co z trzecią dziurą? Po co ona.

— To za moment. — Wredak chciał dokończyć wątek optyczny. — Więc przestrzeń operacyjną wokół pęcherzyka mamy swobodną dość, intensywnie oświetloną i kontrolowaną za pomocą precyzyjnej kamery. Sygnał z niej kierowany jest przewodowo do specjalnej elektroniki, a następnie na wielki monitor operacyjny. Na nim widać piękny, kolorowy, ostry obraz wnętrza brzucha pana Wasowskiego i wyłącznie w oparciu o ten widok operatorzy dokonują zabiegu.

A trzecia dziura, albo czasem i czwarta, służy do wprowadzenia narzędzi wycinająco wydobywczych. Tam wprowadza się różne nożyczki, wycinaki, chwytaki, końcówki. Wszystko zazwyczaj włączone w obwód diatermii chirurgicznej.

— Diatermii?

— Tak. To sporej mocy generator wysokiej częstotliwości, zasilający przeróżne narzędzia tnące, przyzegające, koagulujące. Chodzi o to, że podczas takiego cięcia, tkanki zasklepiają się temperaturowo, smażą, i... nie ma krwawienia. Oczywiście wydziela się dym, smród spalonego mięsa, ale to normalne. Później, w trakcie rekonwalescencji, tkanka regeneruje się powolutku i... po sprawie.

— Ale smród, dym... Okropne. — Wasowski nie był przekonany.

— Owszem, ale trudno. A krwawienie wewnątrz brzucha to katastrofa.

— I co dalej? — Kopeć też dał się wciągnąć w ten obrazowy opis.

— Dalej... cóż. Pod kontrolą kamery manipuluje się narzędziami tak, by dostać się do miejsc, które należy przeciąć. Wcześniej jednak wprowadza się zszywacz, klipsownicę, za pomocą której zaciska się obustronnie, specjalnymi zaciskami, te fragmenty tkanki, które mają być trwale rozdzielone, między którymi będzie cięcie. By uniknąć gwałtownego krwawienia. Czasem jednak zdarzy się źle wykonany zacisk, i wtedy, po również złym, słabo przypieczonym cięciu, następuje krwotok.

— Co wtedy? — Wasowski, mimo, iż miał już dość, był ciekaw wszystkiego.

— Wtedy błyskawicznie wyciąga się z pańskiego biednego brzucha wszystkie ustrojstwa, i zwykłym skalpelem rozcina powłoki by dostać się do wnętrza w sposób klasyczny.

— Po rzeźniczymu — uzupełnił Kopeć. — Na odlew!

— Wtedy wkraczają na scenę ssaki, pompy płuczące, tampony. Przerąbane! Często też wtedy dochodzi do zakażeń i komplikacji.

— A... jeśli nie?

— A jeśli wszystko w porządku, to po obustronnym odcięciu pęcherzyka od... macierzy, ewakuuje się go na zewnątrz specjalnym chwytakiem. Następnie wyciąga też wszystkie instrumenty, do otworu głównego wtyka dren odsączający, pozostałe zasypuje proszkiem na robale, i... już. Po zabiegu.

— Muszą jeszcze wybudzić pana ze znieczulenia ogólnego — dodał ostrzegawczo Kopeć. — A to czasem nie takie proste.

— Tak jest. — Wredak poparł go stuprocentowo. — Bywało, że zabieg udał się całkowicie, ale pacjent zszedł by na amen.

— Czemu? — zdziwił się Wasowski.

— No... anestezjolog przedawkował, wystąpił niespodziewany, niewidoczny szok operacyjny organizmu... Różnie.

— Chryste Panie! — Wasowski był kompletnie podłamany. — Po diabła ja się tu zgłosiłem. Mogę przecież jeszcze wytrzymać...

— No kochanienki. Gdy kamyczki panu podrosną, gdy całość zaropieje, to przekręcisz się pan w jeden dzień. I ból potworny, cierpienia... — Wredak był bezlitosny. Ale i miał rację przecież.

Tymczasem zrobiło się całkiem ciemno, nadeszła wreszcie cisza nocna. Siostrzyczki pomierzyły temperatury, powyciągały z wenflonów dreny, pogasiły światła.

Wasowski nie mógł usnąć — przerażony, trzęsąc się ze strachu, myślał o tych wszystkich okropieństwach — o rurkach stalowych, dziurkach, krwotoku wewnętrznym. A przede wszystkim o Celinie, goleniu i za krótkiej koszuli zabiegowej. Werda i Kopeć chrapali już od dawna, więc nie godząc się z tym, czego jutro doświadczy, wstał cichcem i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Nikogo. Przemknął więc na paluszkach do bocznych drzwi, omijając portiernię szedł do piwnicy, gdzie też i kanałami wydostał się na ruchliwą jeszcze ulicę.

Lekko zamroczony, z krwawiącym wenflonem, w postrzępionej i za małej pidżamie szpitalnej, zamierzał dotrzeć do postoju taksówek, ale przechodząc jak duch przez nieoświetloną jezdnię wiaduktu, został potrącony przez niezbyt prosto pędzącego, lawirującego coś Forda. Odrzucony impetem spadł z wiaduktu na tory kolejowe. Akurat nadjeżdżał osobowy do Małkini, więc też i nie ma potrzeby dalszego wyjaśniania czegokolwiek.

Nie dowiedział się więc poszatkowany doszczętnie Wasowski jak wiele stracił, unikając w tak głupi, choć, trzeba przyznać, nietypowy sposób, standardowego przecież, rutynowego zabiegu laparoskopowego, a zwłaszcza niezwykajnych do niego przygotowań, wykonywanych przez śliczną Celinę.

Koniec — 1409

---

Autor: golesz

Artykuł pobrano ze strony [eioba.pl](http://eioba.pl)